

Mirosław Lissowski
Żołnierz AK, członek oddziału
Partyzanckiego i dywersji w 1944r.

Życie codzienne w okupowanym przez Niemców Mińsku

Na temat okupacji w naszym mieście napisano już wiele wspomnień, często różniących się od siebie. Zdaję sobie sprawę, że ten tragiczny okres każdy z jego uczestników przeżywał odmiennie, w zależności od tego, kim był, co robił, jaka była jego sytuacja rodzinna itp.

No cóż – jak nas poucza doświadczenie – opis wydarzeń historycznych wymaga często dłuższego czasu, aby był w miarę obiektywny. Moje wspomnienia okupacyjne dotyczą tych dziedzin życia, z którymi się stykałem, jako kilkunastoletni chłopak z Mińska. Nie jest więc to materiał historyczny, ale raczej wspomnieniowy, oparty jednak na faktach, z którymi się stykałem codziennie.

Wejście Niemców do Mińska, o ile pamiętam, nastąpiło 12 września 1939r. Czy byliśmy na to przygotowani i czy zdawaliśmy sobie wówczas sprawę z tego, co nas czeka? Chyba nie. I tu chciałbym się nieco cofnąć do okresu, poprzedzającego bezpośrednio agresję Niemców na nasz kraj. Pamiętam wszystkie patriotyczne rocznice, które jako uczniowie obchodziliśmy w szkole, a także tytuły w gazetach z tego okresu. Uświadamiano nas, że „nie oddamy nawet guzika”. Na plakatach oglądaliśmy nasze wspaniałe oddziały na koniach, szable u boku ułanów. To wszystko oczywiście umacniało nasz patriotyzm i gotowość do obrony ojczyzny...

Miejscowe władze, także w Mińsku, powoływały wówczas różnego rodzaju komitety, które miały organizować cywilną obronę obywateli, zwłaszcza w zakresie takich zagrożeń, jak bombardowania, pożary, obrona przeciw-powietrzna i przeciw-gazowa /LOPP/ itp. Zarządzano więc kopanie schronów na każdym podwórku, co miało nas chronić przed bombami i pociskami artyleryjskimi. Drugą powszechną akcją było oklejanie szyb paskami papieru, aby w razie wybuchów chronić w ten sposób szyby w oknach.

Dużą aktywnością wykazało się, jak zwykle, harcerstwo. Młodsze drużyny, do których i ja należałem, pełniły dyżury na dworcu kolejowym, zaopatrując przejeżdżające transporty żołnierzy w wodę i napoje (lipiec był wówczas upalny). Organizacją tej pomocy zajmowała się Pani Łupińska, żona dyrektora Gimnazjum i Liceum. Starsi harcerze mieli natomiast dyżury na dachu szpitala. Ich zadaniem było obserwowanie przelotu samolotów (także niemieckich) i informowanie kogoś telefonem polowym – ile samolotów, jakiego typu, o której godzinie, i w jakim kierunku one leciały. Często zastanawialiśmy się później, jaki był cel tych informacji, i do czego one były wykorzystywane, skoro w pierwszych godzinach wojny większość naszych lotnisk została zbombardowana.

Dużo mieszkańców Mińska próbowało opuścić miasto, udając się do okolicznych wsi, gdzie prawie każdy miał kogoś z rodziny lub znajomych. Powstały jednak zatory na drogach, potęgowane przez tysiące młodych mężczyzn, którzy w przeddzień otrzymali karty mobilizacyjne do wojska i szukali jednostek, w których mieli się stawić, często w odległych miejscowościach. Dziś, coraz częściej zadajemy sobie pytanie, czy zwlekanie z mobilizacją do ostatnich dni sierpnia było słuszne? Podobno nasze władze nie chciały podgrzewać atmosfery wojennej, co wydaje się dziwne, skoro Niemcy od kilku lat nie kryły intensywnych przygotowań do wojny, zwłaszcza przy naszej granicy, zaś od kwietnia 1939r. wojna z Polską była niemal pewna.

1 września 1939r. to pierwszy dzień szkoły. Jednak w tym dniu pojawiły się nad Mińskiem samoloty; było słycać jakieś wybuchy. Wiele osób twierdziło, że to ćwiczy nasze wojsko. Dopiero po

pewnym czasie usłyszeliśmy w radio orędzie prezydenta Ignacego Mościckiego, informujące, że nasz kraj został dziś rano napadnięty przez Niemców. Mińsk nie uniknął bombardowań. Powstały szkody w obiektach, na kolei oraz w urządzeniach energetycznych (elektrownia, linie energetyczne), nie licząc wielu zabitych. W nocy z 11 na 12 września miasto było ostrzeliwane ogniem niemieckiej artylerii. Podawano potem, że na miasto spadło tej nocy 12 tysięcy pocisków. Informacja oczywiście trudna do potwierdzenia...

Ja i moi koledzy pierwszych Niemców spotkaliśmy się na rogu ul. Piłsudskiego i Legionów, obok składu aptecznego Wojeńskiego i zakładu fotograficznego Sażyńskich. Żołnierze niemieccy przyjechali na motocyklach z przyczepami, na których zamontowane były karabiny maszynowe. W tym dniu zaczęła się okupacja w naszym mieście.

Ponieważ życie zawsze się szybko odradza, więc zaczęto usuwać zniszczenia, zabitych chować na cmentarzu. Jednym z ważniejszych zadań było przywrócenie miastu elektryczności. Należy dodać, że takich urządzeń, jak wodociągi czy kanalizacja – nie było w Mińsku.

Dzisiaj się zastanawiam, czy przewidywano wówczas – co przyniesie nam okupacja niemiecka, i jak długo ona potrwa. Chyba takiej świadomości nie mieliśmy. A więc wraz z nastaniem okupacji, zniknęła nazwa naszego kraju „Rzeczpospolita Polska” i w to miejsce powstało Generalne Gubernatorstwo (General Gouvernement). Również nazwa naszego miasta brzmiała oficjalnie Mińsk – distrikt Warschau.

Jednym z pierwszych i odczuwalnych skutków okupacji niemieckiej były trudności z zaopatrzeniem w żywność. Wiązało się to nie tylko ze zniszczeniami wielu wsi, ale zwłaszcza w wprowadzeniem przez Niemców obowiązkowych dostaw żywności (zboże, mięso) na rzecz okupanta, tzw. Kontyngentów. Powodowało to, że wielu mieszkańców miasta udawało się z konieczności na wieś po zakupy podstawowych artykułów.

Procedura ta była zakazana, często takie zakupy były zabierane przez Niemców w czasie niespodziewanych rewizji na drogach. Były też bardziej tragiczne skutki takich działań. Wspominam, jak nasz sąsiad z ówczesnej ul. Poprzecznej (poprzednio POW) Marian Badorek wraz z narzeczonym swojej starszej córki, Hani, nazwiskiem Fidura, udali się we wrześniu 1939r. po żywność w rejon Siennicy. Niestety chcieli, że w tym dniu we wsi Łękawica został zabity z bliżej nieznanych powodów niemiecki motocyklista. Niemcy w odwecie spalili całą wieś, zaś 24 złapanych tam mężczyzn na miejscu rozstrzelali. W tej liczbie naszych wspomnianych wyżej sąsiadów...

W Mińsku zaczęły funkcjonować niemieckie urzędy, zajmujące się administracją miasta i gmin w powiecie. Główne urzędy to: Starostwo Powiatowe (Kreishauptmannschaft) oraz Urząd Pracy (Arbeistamt). Na czele starostwa stał przez cały okres okupacji, dr Bittrich z Berlina. Jednym z ważniejszych biur w starostwie był Wydział Administracyjno-Policyjny, którym kierował Niemiec o nazwisku Botz. To on podpisywał nowe dowody osobiste Polaków, tzw. Kenkarty, a także przepustki na wyjazd do innego województwa (dystryktu). Arbeitsamt, który mieścił się w rejonie dzisiejszej szkoły Kopernika, był jednym z bardziej znienawidzonych urzędów, ponieważ zajmował się łapaniem w różnych okolicznościach Polaków, np. na ulicy lub we wsiach i wysyłaniem ich na tzw. Roboty do Niemiec.

W 1940r. do Mińska zaczęto przywozić pewną ilość Polaków z terenów przyłączonych do Niemiec, tj. z województwa poznańskiego i bydgoskiego, głównie z takich miast, jak Żnin i Szubin. Nazywano ich „wysiedleńcami”, chociaż oni sami starali się szybko dostosować do nowych warunków, podobnie, jak miejscowi mieszkańcy Mińska. Zasługuje na podkreślenie, że mieszkańcy Mińska pomagali im w wynajęciu mieszkań w mieście. Ich dzieci rozpoczęły naukę w szkole, starsi podejmowali pracę w zależności od przygotowania zawodowego. Często się wspominało, że w urzędach niemieckich pracowało dużo tzw. Wysiedleńców. Nie było to nic dziwnego, jeśli się

weźmie pod uwagę, że Niemcy w urzędach administracyjnych zatrudniali pewną ilość Polaków, zaś Polacy wysiedleni tym się odznaczali, że znali dobrze język niemiecki (tak, jak nasi mieszkańcy – język rosyjski), co ułatwiało wzajemne kontaktowanie się władz okupacyjnych z lokalnymi firmami i mieszkańcami.

Dla nas, młodego pokolenia mińszczyzan, jednym z pierwszych zadań było kontynuowanie nauki, którą wybuch wojny niespodziewanie przerwał. Niemiecka polityka w zakresie oświaty okazała się dość wyraźna: utrzymano działanie szkół powszechnych, wychodząc zapewne z założenia, że Polacy, niezależnie od roli, jaka im przypadnie po wygranej przez Niemców wojnie, powinni umieć czytać i pisać.

Ja i moi rówieśnicy zaczęliśmy więc kontynuowanie nauki w klasie szóstej szkoły powszechnej (tak się ona wówczas nazywała) im. Kopernika przy ul. Siennickiej. Zauważyliśmy jednak pewne zmiany; zniknęło z Sali lekcyjnej godło państwowe oraz portrety prezydenta RP i Marszałka Polski. Z programu usunięto naukę historii, natomiast wprowadzono naukę języka niemieckiego. Naszą nauczycielką tego języka okazała się niejaka pani Szulcowa. Jej mąż przed wojną prowadził przy ul. Warszawskiej, w pobliżu Nowego Miasta jakiś zakład, chyba młyn mechaniczny. W czasie okupacji przyznał się do niemieckiego pochodzenia.

Trochę inna polityka okupanta była wobec nauki w szkołach średnich. Utrzymano jedynie szkołę handlową przy ul. Kościuszki. Uważano widocznie, że do różnych biur, banków i innych zakładów będą jednak potrzebni Polacy z przygotowaniem zawodowym, np. ze znajomością księgowości, administracji itp. Inaczej było z miejscowym Gimnazjum i Liceum. W styczniu 1940r. niemiecki starosta dr Bittrich nakazał zamknąć szkołę średnią. Było to już szczegółowo opisane przeze mnie w latach ubiegłych. Nadmieniam jedynie, że już wówczas wyraziłem pogląd, że tajne nauczanie – obok harcerstwa - było jednym ze źródeł powstania przyszłej konspiracji niepodległościowej (Szare Szeregi, AK). Tajne nauczanie w Mińsku było bardzo sprawnie zorganizowane przez dotychczasowych nauczycieli, w tym także „wysiedlonych”). Pewnym mankamentem był fakt, że ze względów zasadniczych musiało się ono odbywać w grupach kilkuosobowych, w wielu prywatnych mieszkaniach.

Przypomnę jednak pewien smutny szczegół: otóż na „mój komplet tajnego nauczania naszym mieszkaniu przy ul. Piłsudskiego uczęszczał nasz kolega Izajasz Wajner, który był Żydem. Przestał jednak przychodzić na lekcje, gdy utworzono w Mińsku getto. Żydom nie wolno było z niego wychodzić, natomiast początkowo Polacy mogli do getta wchodzić. Wówczas ktoś z nas zaproponował, aby nasze lekcje przenieść do naszego kolegi do getta. Mieszkał on z pięćosobową rodziną w pokoju z kuchnią przy ul. Mostowej, u zbiegu z ul. Nadrzeczną, w pobliżu rzeki Srebrnej. Pamiętam, że gdy przychodziliśmy tam rano na lekcje, wszyscy pozostali członkowie rodziny przenosili się natychmiast do kuchni, udostępniając nam pokój. Warunki nauki były tam bardzo trudne, wręcz tragiczne, ale i one szybko się skończyły, bo wkrótce wejście Polakom do getta zostało zakazane. Wspominam to, jako współczujący i serdeczny gest z naszej strony wobec naszego kolegi, który tak chciał się uczyć, mimo iż zapewne przeczuwał, jaki będzie wkrótce los mińskich Żydów.

Wracając jednak do tajnego nauczania, to nachodzi mnie obecnie taka refleksja. Rano na ulicach Mińska widziało się grupy młodych chłopaków i dziewcząt, często z plikiem książek w torbach lub za paskiem. Nie trudno było więc Niemcom ustalić – co to za grupy, i w jakim celu wędrują po ulicach. I dziwna rzecz – nie pamiętam przypadku, aby Niemcy wkroczyli do któregoś domu, gdzie odbywało się tajne nauczanie i dokonali tam aresztowań. Dochodzę więc do wniosku, że Niemcy zdawali sobie sprawę, że duża ilość młodzieży poświęcała wiele czasu tajnej nauce, ale widocznie uważali, że nielegalna nauka (ogólnokształcąca) jest jednak dla Niemców mniej szkodliwa, niż włączanie się tej samej młodzieży w działalność organizacji podziemnych, walczących z Niemcami.

Jednym z głównych problemów dorosłego pokolenia Polaków była sprawa zatrudnienia. Chodziło nie tylko o środki niezbędne dla utrzymania rodziny, ale także – co było równie ważne – o wykazanie się pracą, która mogła uchronić przed wysłaniem na roboty do Niemiec. Duże zakłady pracy, w których byli zatrudniani Polacy, były zarządzane przez Niemców. Przedwojenna fabryka Rudzkiego za torami kolejowymi nosiła teraz nazwę „Krupp Stahlbau”. Wielu Polaków pracowało też na kolei, która – ze względów strategicznych – funkcjonowała normalnie. Ponadto uruchamiano niektóre drobne zakłady rzemieślnicze oraz sklepiki, m.in. znany od przed wojny, sklep spożywczy, prowadzony przez powstałe w 1903 r. Tow. Spółdzielcze „Oszczędność” przy ul. Piłsudskiego. Wobec coraz większych trudności w zaopatrzeniu sklepów w podstawowe artykuły, wprowadzone zostały dla mieszkańców Mińska kartki żywnościowe. Upoważniały one do zakupu niektórych artykułów żywnościowych i to w minimalnej ilości. Kartkami objęte były, m.in. chleb, cukier, kasza, mąka, mydło oraz niewielkie ilości mięsa i oleju. Oddzielne talony były np. na zakup butów. Była pewna ilość sklepów lepiej zaopatrzonych, ale nosiły one nazwę „Nur für Deutsche”. Podobnie było z kawiarniami, czy jadalniami. Główny taki lokal przy ul. Piłsudskiego, w którym codziennie grał polski zespół muzyczny, prowadzony był przez niejakiego Heinricha Schffera (Przed wojną podobno mieszkał na Śląsku i nazywał się Henryk Owczarek). Lokal ten był również „Nur für Deutsche”, głównie dla żołnierzy niemieckich. Powstawały też firmy niemieckie, które zatrudniały pewną ilość Polaków, m.in. firma zajmująca się budową dróg „Wolfer&Goebel” lub duża firma handlowa „Tetzlaff&Wenzel” mająca duży, wielobranżowy sklep w budynku dr Mackiewicza przy ul. Piłsudskiego. W sklepie tym pracowali m.in. absolwenci szkoły handlowej. Kontynuowała też działalność przedwojenna fabryka sztućców metalowych w Stojadłach, której właścicielem był przed wojną Żyd Fogelnest. W czasie wojny otrzymała ona dziwną nazwę „IFOSTO”. Co było skrótem Icek Fogelnest Stojadła.

Duża część naszych mieszkańców, podobnie, jak przed wojną, dojeżdżała pociągiem do pracy w Warszawie. Pociągi elektryczne kursowały, jak już wspomniałem, bardzo sprawnie, jednak podróżowanie wiązało się z pewnym ryzykiem. Niemcy często przeprowadzali w pociągu lub na dworcu w Mińsku legitymowanie oraz rewizję bagażu (handel żywnością). Stąd taką dużą wagę przywiązywano do „dobrych” zaświadczeń o zatrudnieniu. Chroniły one przed aresztowaniem i wywozem na roboty do Niemiec.

Jak już wspomniałem wyżej, podróżowanie bez zezwolenia mogło się odbywać wyłącznie w ramach tego samego dystryktu. Pamiętam, że jak mój starszy brat chciał pojechać do rodziny zamieszkałej w Chełmie (dystrykt Lublin), musiał więc uzyskać ze starostwa przepustkę, w której podany był cel i termin wyjazdu.

Wielką dolegliwością było wprowadzenie dla Polaków godziny policyjnej, dotyczącej możliwości chodzenia po ulicach do określonej godziny (2000 lub 2100 w zależności od pory roku). Jedynie niektórzy obywatele mogli uzyskać przepustki na poruszanie się po godzinie policyjnej. Dotyczyło to niektórych zawodów, np. pracowników kolei, elektrowni, fabryki, niektórych lekarzy. Poruszanie się po ulicach bez przepustki groziło aresztowaniem lub zastrzeleniem przez patrol niemiecki. I znów sytuacja dość paradoksalna. Okazało się, że tak liczne utrudnienia i ograniczenie w poruszaniu się spowodowały częstsze spotkania rodzinne lub towarzyskie w domach...

Trzeba w tym miejscu wspomnieć, że posiadanie radia groziło, w najlepszym razie, wysłaniem do obozu koncentracyjnego. Kina w Mińsku („Strażak” i „Apollo”) wprawdzie wyświetlały filmy, głównie niemieckie, ale Polacy bojkotowali powszechnie ten rodzaj rozrywki. Było nawet takie powiedzenie: „Tylko świnie siedzą w kinie”.

Takie warunki sprzyjały też czytaniu książek. Najbardziej znaną wypożyczalnią książek była księgarnia Skrodzkiej przy ul. Warszawskiej. Chętnie tam bywaliśmy, zwłaszcza, że Skrodzka (później Lipska) same nam wybierały książki do czytania.

Okres okupacji, w której żyliśmy, bardzo nas ograniczał, a często był wręcz tragiczny. Odczuwaliśmy więc potrzebę kontaktów koleżeńskich, aby móc porozmawiać, czy nawet w jakimś sensie rozerwać się, stąd zawiązywały się bliskie przyjaźnie. W lecie udawaliśmy się na słynną „pompkę” w lesie, za ul. Stankowizna, gdzie można było się wykąpać w niewielkim oczku wodnym, zaopatrującym w wodę wieżę ciśnień na kolei. Dużą popularnością cieszyły się koleżeńskie spotkania, połączone nawet z tańcami przy patefonie nakręcanym korbką. Trzeba przyznać uczciwie, że spotkania takie często były zakrapiane „bimbrem” bardzo wówczas popularnym. Wydaje mi się, że alkohol, który był w programie, miał na celu oderwanie się, przynajmniej na parę godzin, od smutnej rzeczywistości. Jeśli w czasie takiej rozrywki przekroczyliśmy godzinę policyjną, wówczas skazani byliśmy na spędzenie całej nocy w miejscu imprezy. Takie rzeczy nikogo z nas nie raziły.

Dużą rolę w podtrzymywaniu w Polakach ducha narodowego, odgrywał Kościół, do którego regularnie chodziliśmy w każdą niedzielę. W dalszym ciągu msza „szkolna” odprawiana była w niedzielę o godzinie dziewiątej. Niektórzy z nas byli ministrantami. Uczyliśmy się więc ministrantury po łacinie, bo w takim języku odprawiane były wówczas nabożeństwa. Należy podkreślić, że Kościół, w trudnych dla narodu czasach, był miejscem, gdzie gromadzenie się i wspólne modlitwy po polsku nie były przez okupanta zakazane.

Patriotyczne działania wiązały się też z cmentarzem, zwłaszcza w miejscu pochowania poległych żołnierzy, zarówno z I, jak i II wojny światowej. Pamiętam, że – w ramach działalności Szarych Szeregów – każdorazowo w dniu 11 listopada składaliśmy wieniec z szarfami białą czerwoną pod makietą dużej bomby lotniczej, która w czasie okupacji została przyniesiona z ul. Warszawskiej na centralny punkt cmentarza wojskowego.

Szkoda, że obecnie w naszych szkołach, w ramach patriotycznego wychowania, nie wspomina się o tym, jak ich rówieśnicy zachowywali się w czasie okupacji. Nie można też zapominać, że niektórych naszych kolegów, poległych w walce lub zabitych przez Niemców – chowaliśmy na tym cmentarzu pod osłoną nocy. W niektórych przypadkach odbywało się to z udziałem jednego z naszych księży. Wymienię tu ks. Mariana Pawłowskiego (nie żyje), który był bliski naszej organizacji lub ks. Stanisława Wiśniewskiego, wysiedlonego, który w czasie okupacji zamieszkiwał na terenie szpitala i odprawiał nabożeństwa w kaplicy szpitalnej. Przez pewien czas był naszym katechetą na tajnych kompletach. Był księdzem o dużej wiedzy i nigdy nie unikał z nami dyskusji, nawet na trudne tematy. Po wojnie mieszkał w Bydgoszczy. Obydwu tych kapłanów wspominaliśmy zawsze bardzo serdecznie i z wielkim szacunkiem.

Wielu mieszkańców naszego miasta zaangażowanych było w działalność konspiracyjną. Był to bardzo szeroki wachlarz działalności: Szare Szeregi, Oddziały AK, szkoły podoficerskie i podchorążówki, sabotaże, dywersja, wyroki na Niemców i osoby kolaborujące z okupantem, oddział leśny itd. Temat ten jedynie wspominam, ponieważ działalność podziemna w Mińsku była już wielokrotnie opisywana w lokalnych wydawnictwach.

Wracając do codziennego życia w mieście, to wypada wspomnieć, że Niemcy – mimo ogromnej brutalności – bali się panicznie jednej rzeczy, mianowicie choroby zakaźnej typu tyfus plamisty. Gdy pojawiła się gdzieś taka choroba, natychmiast kazali wywieszać na domu informację na czerwonej kartce z dużym napisem „Achtung - Fleckfieber”. Taki dom był przez pewien czas omijany przez Niemców. Ponieważ te wywieszane informacje o tyfusie były drukowane w naszej drukarni, wpadliśmy na pomysł, aby takie same ogłoszenia wywieszać na domy, który chcieliśmy czasowo chronić, np. przechowywana była w nim broń lub radiostacja lub ktoś z naszych w tym domu się ukrywał była gwarancja, że do takiego domu Niemcy nie weszli.

Niewątpliwie, jest jeszcze wiele spraw okupacyjnych, które nieostały w pełni zbadane. Proponowałem przed laty, aby zebrać grono żyjących jeszcze uczestników tamtych wydarzeń i spróbować nakreślić historię organizacji podziemnych na naszym terenie, nawet, jeśli w niektórych

sprawach i w ocenie niektórych faktów były pewne różnice. Było to tym bardziej celowe, zwłaszcza wobec faktu, że główni organizatorzy i uczestnicy tamtych wydarzeń odeszli po 17 lutego 1944r. podobny pogląd wyrażał wówczas także miński działacz Leszek Celej, który powiedział, że „trzeba coś zrobić, póki żyją jeszcze ludzie, bo za kilka lat będzie za późno, a historycznych dziur już nikt nie zalata”.

Dziś można już stwierdzić, że te apele nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Mińsk nie ma opisaną i wiarygodną historię ruchu podziemnego. Np. jednym z tematów, które nie do końca zostały wyjaśnione, było wykonywanie przez nasze służby wyroków. Nie chodzi oczywiście o wyroki na Niemcach, które nie budziły wątpliwości, czy nawet wyrok na naszego kolegę z AK Zygmunta Żółtka, który w czasie przesłuchiwania go przez komendanta Lubicza w dniu 18 lutego 1944r. (byłem przy tym) przyznał się do zdrady wszystkich aresztowanych akowców, w wyniku czego dostał wyrok śmierci. Chodzi mi o wyroki na innych Polakach, którym zarzucano współpracę z Niemcami. Nie mam oczywiście żadnych podstaw, aby kwestionować te wyroki i ich słuszność. Dostrzegam jednak nie dotrzymanie pewnych procedur. Przypominam więc, że po każdym takim wyroku ukazywał się w „Biuletynie Informacyjnym” na pierwszej jego stronie komunikat o następującej treści: „W dniu ..., o godz. ... Przy ul.... Na podstawie wyroku Sądu Specjalnego został zastrzelony agent gestapo, wysoki urzędnik.... Etc., szczególnie szkodliwy dla Polaków”. W podpisie „Kierownictwo Walki Konspiracyjnej”.

Nie pamiętam, aby w „Biuletynie” ukazywały się komunikaty, dotyczące wyroków na terenie mińska. Był też taki przypadek, gdy w grudniu 1942r., pod Siennicą został zastrzelony pracownik Arbeitamtu w Mińsku, Jan Thomas. Wyrok wykonał chyba oddział Gwardii Ludowej. W tym przypadku powstaje jednak pewna wątpliwość. Otóż człowiek ten został wysiedlony przez Niemców z woj., bydgoskiego. Zamieszkał przy ul. Górnej (obecnie Kazikowskiego) obok istniejącej tam wówczas Kasy Chorych. Miał córkę i syna, obydwójce uczęszczali na tajne komplety; jego syn, Tolek, chodził do mojej grupy, od 1941r. ich ojciec podobnie jak wielu tzw. „wysiedlonych”, pracował na swoje nieszczęście w Arbeitsamcie. Był chyba przyzwoitym Polakiem, skoro wielokrotnie uprzedzał nas i naszych nauczycieli o planowanych licznych łapaniach na roboty do Niemiec. Były przypadki, że już złapanym przez Niemców pomagał w zwolnieniu. Oczywiście trudno było znać wszystkie okoliczności, będące podstawą do ukarania go śmiercią. Czy można jednak wykluczyć, że w tego rodzaju tragicznych decyzjach, dotyczących wyroku śmierci nie występowały jakieś osobiste porachunki lub chęć zemsty? Tego nie wyjaśnimy już nigdy.

Życie okupacyjne, których fragmenty opisuję, toczyło się obok nas. Były dni lepsze i bardziej optymistyczne, gdy, np. dotarła do nas wiadomość o jakiej klęsce Niemców na froncie. Były też i gorsze, gdy stykaliśmy się z nieoczekiwanym aresztowaniem lub śmiercią naszych bliskich. I to nie w okolicznościach walki podziemnej, bo mieliśmy świadomość, że taka działalność zawsze groziła śmiercią.

Przykre zwłaszcza były egzekucje lub zabijanie z powodów zupełnie nieoczekiwanych. Mój kolega szkolny, którego rodzina żyła w skrajnej biedzie „zarabiał” niewielkie pieniądze na kradzieży węgla przewożonego przez Niemców wagonami. Gdy pociąg stał pod semaforem, on i jego koledzy wyrzucali z wagonów bryły węgla na tory, które potem zbierali do worków i sprzedawali ludziom do opalania kuchni i pieców. Pewnego dnia w pobliżu torów przechodził funkcjonariusz Bahnschutz (niemiecki strażnik kolejowy), który mojego kolegę po prostu zastrzelił. Albo inny przykład: w domu, w którym mieszkaliśmy na rogu ul. Piłsudskiego i ul. Poprzecznej mieszkał od zawsze szewc Wójcicki. Nie był w żadnej konspiracji, nigdzie się nie udzielał. Wyłącznie reperował buty. Pewnego dnia Niemcy zabrali go z domu i zastrzelili w pobliżu na ul. Klasztornej (obecnie Spółdzielczej). Wszyscy byli zdziwieni, jaki był powód zabicia naszego sąsiada. Jak się później dowiedzieliśmy, ktoś doniósł do Niemców, że Wójcicki w czasie wojny 1920 r.(!) pił z żołnierzami rosyjskimi wódkę, a może

jeszcze im w czymś pomagał. Taki przypadek wydaje się dziś śmieszny, ale wówczas był żałosny i okrutny. Wspominam te przypadki, aby wykazać tragizm dni okupacyjnych. Co gorsza – spotkanie się z nimi na co dzień powodowało u ludzi pewne znieczulenie, a może uodparnianie się na śmierć, która nas otaczała.

Wspomnę jeszcze jeden smutny przypadek, aby to potwierdzić. 21 sierpnia 1942r. Niemcy likwidowali mińskie getto. W godzinach popołudniowych pędzili parę tysięcy tych nieszczęśliwych ludzi – mężczyzn, kobiet i dzieci na dworzec kolejowy, gdzie czekała ich ostatnia w życiu podróż. Gdy tłum przechodził ul. Piłsudskiego, obok naszego domu, jeden z młodszych Żydów wyrwał się z pochodu i wpadł na nasze podwórko, chowając się w wykopanym w ziemi schronie. Oczywiście Niemiec z eskorty natychmiast go dopadł i zastrzelił. Wieczorem, wszyscy sąsiedzi z naszego domu – jak co dzień – zgromadzili się na ławce obok studni na pogawędkę, aby omówić miniony, okupacyjny dzień. Kilka metrów od nas leżał zabity Żyd, ale nikt na to nie zwracał uwagi. Ludzie, którzy tego nie przeżyli, nie są w stanie zrozumieć takich zachowań, które były chyba jakąś formą samoobrony przed popadaniem w tragiczną, okupacyjną depresję.

Wspominanie życia codziennego w okupowanym Mińsku chciałbym jednak zakończyć jakimś pozytywnym elementem. Jak wiadomo – mimo braku radia, czy wolnej prasy – nasi mieszkańcy niezwykle żywo interesowali się działaniami na różnych frontach, toczącej się wojny. Źródłem informacji były najczęściej różne plotki, ale także informacje bardziej wiarygodne, np. z prasy podziemnej, która do nas docierała z Warszawy lub z nielicznych nasłuchów radiowych z Londynu. Najbardziej jednak wiarygodną informacją, będącą nadzieją dla naszych mieszkańców, było obserwowanie wiosną 1944r. ewakuacji (ucieczki) ogromnej ilości wojska niemieckiego, sprzętu wojskowego i taborów ul. Warszawską, od wschodu w kierunku Warszawy. Drugą informacją, raczej słyszalną, były coraz bliższe odgłosy artylerii i bombardowań, nasilające się z każdym dniem od wschodu... Był to dla nas znak, że tragiczna okupacja naszego kraju wkrótce się zakończy.

Chciałbym podkreślić, że w tym okresie nikt nie zastanawiał się jeszcze, jaki będzie układ społeczno-polityczny naszego kraju. Nawet wśród środowiska akowskiego, do którego należałem, nikt nie wątpił, że wróci do nas rząd z Londynu i że Polska będzie w granicach sprzed wojny 1939r. takie nadzieje przyświecały nam aż do lipca 1944r. Co się stało później, wszyscy wiemy.